

Nowakowski Przemysław

Zawsze cię dogonię

Z „Fahrenheit”

Gdańsk odwiedziłem po raz pierwszy w życiu. Tyle słyszałem o tym mieście, tyle legend było z nim związanych, tyle opowiedzianych historii, tylu poległych, tylu niedoszłych bohaterów...

W powietrzu dało się odczuć tę niezwykłą atmosferę, związaną z zauważalnym zmierzchem lata. W kierunku ratusza ruszyłem podekscytowany, oczekując niezapomnianych przeżyć. Torba na ramieniu, kilka złotych w kieszeni i okulary przeciwsłoneczne, do tego aparat fotograficzny i plan miasta: to był cały mój ekwipunek. Podróż z Bydgoszczy przebyłem na gapę, wierząc, że dwudziestolatkom wszystko się udaje. Gdańsk okazał się wart zachodu. O tej porze roku miał w sobie jakąś nutkę nostalgii, która zmuszała do rozliczeń z przeszłością. Nie zastanawiałem się nad tym, co wywołało taki nastrój: może letni wiatr, niosący ze sobą ładunek pozytywnych emocji, może secesyjna architektura, a może wisząca w powietrzu atmosfera zbliżającej się burzy, która łaskotała mnemozynę olbrzymią falą emocji, płynących nie wiadomo skąd i nie wiadomo dlaczego... Przez chwilę poczułem się jak Marcel po zjedzeniu magdalenki. Coś się zmieniło, ale nie byłem w stanie uchwycić tego niuansu. Słyszałem nieraz o miastach, które potrafiły tak zaczarować nowoprzybyłych, że nie chcieli oni później wracać do rodzinnych miejscowości, ale moje odczucie bardziej było zbliżone do lęku. Stałem, by wziąć głęboki oddech i rozejrzeć się dookoła. Przede mną majaczyły już zarysy Złotej Bramy, którą zapamiętałem z lektury przewodników. Poczucie lęku zaczęło powoli na nowo ustępować euforii. Uprzytomniłem sobie, że stercząc tak po środku ulicy, musiałem wyglądać na dziwaka, ruszyłem więc hardo przed siebie, odsuwając w niepamięć niedawne obawy. Wtedy wydawało mi się, że to tylko wyobraźnia spletała mi figła.

Mimo że coraz więcej chmur zaczęło zbierać się na niebie, czułem się wspaniale, mijając przy Bramie Więziennej kolejne ze wspaniale zdobionych wrót. Po wejściu w Długą, mój wzrok przyciągnął szpaler efektywnych chorągwi, przedstawiających dawne herby mieszkających tu przed laty niemieckich rodzin kupieckich. Złapałem się na tym, że próbowałem rozpoznać kolejne z mijanych emblematów. Zawsze intrygowała mnie historia Niemiec, podobnie jak język naszych sąsiadów znad Renu. Wpływ, jaki na Gdańsku wycisnęło niemieckie mieszczaństwo tylko podsycił moją ciekawość. Nauczyciele mówili mi, że moje zdolności w nauce niemieckiego były nadzwyczajne. Rzeczywiście, świetnie posługiwałem się tym językiem, ale moi przyjaciele mówili i pisali w ojczyściej mowie Goethego nierzadko lepiej i poprawniej ode mnie. Gdybym wtedy skojarzył wszystkie te fakty...

Tymczasem proporce zbliżały się i oddalały ode mnie w nieustającym kalejdoskopie wzorów. Kiedy już wydawało mi się, że zbliżam się do końca szpaleru, wśród innych ornamentów, rysujących się przed moimi oczami, wyłoniły się dwa olbrzymie, średniowieczne topory, takie z czasów wojen krzyżowych. Karmazynowe zabarwienie ich ostrzy przywodziło na myśl zakrzepłą krew. To był jedyny sztandar, spośród wszystkich tu wiszących, którego nigdy w życiu nie widziałem w żadnej naukowej publikacji, a jednak byłem niemal na sto procent pewien, że spotkałem się już gdzieś z tym wizerunkiem. I ten napis. Był wyszyty złotą kursywą, ale jako krótkowidz, z takiej odległości nie mogłem wyraźnie dostrzec kształtu liter. Nie dawał mi spokoju. Coś podpowiadało mi, że znam napisane tam słowa na pamięć... Nieprzyjemny cień przysłonił słońce. Spojrzałem w niebo. Chmury prawie że tworzyły nad moją głową baldachim. Wtedy po raz pierwszy poczułem pewność, że już byłem kiedyś w Gdańsku, ale natychmiast odrzuciłem irracjonalne, zdawałoby się, przypuszczenia. Napis musiałem jednak rozszyfrować za wszelką cenę. Wykupiłem bilet i wszedłem do środka muzeum.

Kustosz był bardzo uprzejmy i oświadczył, że mieszkanie, które właśnie oglądałem, należało przed laty do słynnej niemieckiej rodziny von Hogarów. Najszynniejszym przedstawicielem tej zacnej rodziny był

niejaki Johann, żyjący na przełomie XIX i XX stulecia, specjalizujący się w handlu płótnem. Jego rodzina mieszkała tutaj aż do 1945 roku, kiedy to sędziwego Johanna rozstrzelali żołnierze Armii. Wtedy ocalali członkowie rodziny wyjechali do Brandenburgii. Zaintrygował mnie los von Hogarów. Obydwaj synowie Johanna zginęli w niejasnych okolicznościach pod koniec pierwszej wojny światowej, podczas rozbrajania niemieckich żołnierzy w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Wnuk starego von Hogara również zginął w czasie wojny. Podczas obrony Westerplatte...

Kiedy poprosiłem kustosza o pokazanie mi herbu z toporem długo się opierał, w końcu jednak przyniósł go... Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. To był ten sam materiał. Te same litery były na nim wyszyte i ta sama krew kapłała z oręza, jakby dopiero co został użyty podczas jakiejś makabrycznej rzezi. Nie miałem pojęcia, skąd znałem ten sztandar, a jednak miałem pewność, że spoczywał on już kiedyś w moich rękach. Wtedy zdałem sobie sprawę z czegoś jeszcze. Lodowaty strach przeniknął moje ciało. Domyślałem się, jaki będzie napis wieńczący herb. Przez chwilę bałem się spojrzeć na złożone litery. Koszulka przemokła mi już od potu, a mimo to dreszcze przebiegły po ciele. W końcu odważyłem się i zerknąłem. Nie pomyliłem się. W samym dolnym rogu, niczym czyjaś sygnatura, tkwił tajemniczy napis: *mane, tekel, fares*. Nie był po niemiecku. Nie był nawet po łacinie, ani po żydowsku. Jego pochodzenie zwiastowało nieuchronność znaczenia tych słów. Uszczypnąłem się, aby sprawdzić, czy rzeczywiście działo się to, czego byłem świadkiem. Miałem nadzieję, że to tylko obłądny sen, ale tym razem było inaczej. Przeznaczenie zaczęło zaciskać pętlę na mojej szyi. Wybiegłem z domu von Hogarów, aby jak najprędzej poczuć powiew świeżego powietrza, który mógł przywrócić mnie do równowagi i pozwoliłby zapomnieć o wydarzeniach minionej chwili. Podmuch delikatnego, letniego wiatru wyrwał mnie z mrocznego transu. Trzech uśmiechniętych studentów, przebranych za mędrców ze Wschodu, ukłęknięto do zdjęcia przed Ratuszem. Ich śmiech, jak zimny prysznic, pomógł mi odzyskać spokój. Wiedziałem jednak, że pryśnie on, kiedy tylko zabraknie przy mnie tłumy. Jedynie obecność ludzi wokół zagłuszała wewnętrzne przekonanie, że działo się coś niepokojącego, wręcz straszego. Zwłaszcza, że chmury zlewające się w jednolitą nieprzeniknioną maź, owinęły mnie po raz kolejny niewidzialną mgiełką dejavu... Przez chwilę byłem pewien, że ta wycieczka odmieni całe moje dotychczasowe spojrzenie na świat i tajemnicę życia, lecz mimo to nie chciałem wracać. Musiałem zrozumieć, co kryło się za moją reakcją w domu von Hogarów. Bezruch powietrza zaczął powoli dawać się we znaki. Już kiedyś byłem w Gdańsku podczas burzy. Mógłbym przysiąc...

Neptun trzymał swój wspaniały trójząb lekko nachylony, jakby szykując się do odparcia kolejnego zalotnika Amfitryty. Turyści co chwilę potracali mnie, przeciskając się wśród gęstniejącego tłumy im podobnych. A chętnych do zwiedzania nadmorskiej metropolii nie brakowało. Oprócz Polaków i Niemców przez Gdańsk przewijali się Francuzi, Japończycy i Amerykanie. Nic dziwnego, miasto oszałamiało pięknem. Jakaś kobieta poprosiła mnie o zrobienie jej zdjęcia wraz z dzieckiem. Chwyciłem aparat do ręki. Był lepszy od mojego; nie mogłem sobie pozwolić na taki luksus. Zrobiłem zdjęcie, wcisnąłem zadowolonej matce aparat w dłoń i spróbowałem zaszyć się w tłumie. Zaczepił mnie jakiś handlarz. Próbował wcisnąć mi do ręki nieciekawą pamiątkę przedstawiającą Neptuna. Ten handlarz musiał mieć jakieś sto lat: przygarbiony, kulawy, niewidomy. Włożyłem mu do ręki drobną monetę i chwyciłem figurkę. Miała najwyżej dwadzieścia centymetrów wysokości. Zrobiona była z mosiądzu albo stopu, który bardzo dobrze go imitował, ale jej wykonanie pozostawiało wiele do życzenia. Poza tym musiała powstać około pół wieku temu, a może jeszcze wcześniej. Starzec zapewne handlował nimi, zanim przyszedł na świat mój ojciec. Ojciec? Nigdy go nie poznałem. Matka rzadko o nim wspominała. Mówiła tylko, że zostałem poczęty przez przypadek, na jakiejś wycieczce. Ojciec miał się z nią jeszcze spotkać, ale nie przyszedł i nigdy później nie próbował jej odszukać, gdy mieszkała w Bydgoszczy. Prawdopodobnie domyślił się, że mogła zająć w ciążę i ewakuował się, póki czas. Schowałem obrzydliwą figurkę do najgłębszej kieszeni spodni i ruszyłem w stronę Kościoła Mariackiego. Delikatne mrowienie ogarnęło mnie na myśl o zobaczeniu tej świątyni. Kryła się w niej zapewne kolejna legenda, tajemnicza jak monumentalne mury, sięgające wprost do nieba.

Katedra sprawiała wrażenie surowej. Nie była podobna do żadnej innej gotyckiej budowli, które wcześniej udało mi się zobaczyć. Jej wieże nie były strzeliste, choć wyrastały na ponad 80 metrów. Przytłaczała raczej wielką powierzchnią. Przypominała potężną fortecę, warownię srogiego władcy, a nie świątynię. We wnętrzu czuło się chłód. Jasne światło wpadające przez okna pogłębiało wrażenie, jakbym odkrył mroczną alkowę twierdzy, a nie przybytek Boga. Brak witraży, tak charakterystycznych dla gotyku, potęgował to odczucie. Przez chwilę zatrzymałem się w jednej z niewielu kaplic, przy słynnej reprodukcji

Sądu ostatecznego Memlinga. Wychodząc z niszy, nabyłem za grosze mini wersję obrazu i udałem się w stronę słynnego zegara astronomicznego, nazywanego gdańskim Orlojem. Kiedy zbliżyłem się do niego, dostrzegłem od razu pewien niepokojący szczegół. Dreszcz po raz drugi tego dnia wstrząsnął moim ciałem.

Teraz miałem już pewność, że wcześniej tam byłem! Nie wiedziałem, czy podczas snu, czy na jawie, ale nie ulegało wątpliwości, że tego miejsca nie zapamiętałem z fotografii ani z taśmy filmowej. Znałem je z autopsji. To jednak, co dostrzegłem na zegarze, zszokowało mnie jeszcze bardziej. Dokładniej przyjrzałem się staremu czasomierzowi, ale im dłużej się w niego wpatrywałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że pierwsze wrażenie mnie nie zmyliło. Gwiazdy układały się w dwa skrzyżowane topory. Nie przyśniło mi się to wcześniej. Teraz miałem już pewność, że to zjawisko widziałem kiedyś na własne oczy. Działo się ze mną w Gdańsku coś niesamowitego, przekraczając moje możliwości zrozumienia. Prześladowało mnie jakieś wspomnienie lub sen. Mogłem się wycofać i jak najszybciej wracać na dworzec, ale ciekawość dławiła mnie na równi ze strachem. Odwróciłem się od zegara. W najbliższej ławie siedziała stara zakonnica. Szeptła w skupieniu jakieś modlitwy. Kiedy przechodziłem obok niej, aby wrócić na główną, mój wzrok mimochodem zawadził o stary brewiarz, który siostra trzymała w trzęsącej się dłoni. Chcąc nie chcąc, po raz drugi tego dnia przeczytałem napis: *mane, tekel, fares*. Policzono, zważono, rozdzielono... Tylko co? W głębi duszy czułem, że nie chcę poznać odpowiedzi na to pytanie. Wiedziałem jednak, że im dłuższa będzie moja podróż po gdańskich ulicach, tym bliższy będę rozwiązania tej zagadki. Jakieś nieznane demony przeszłości próbowały mnie dogonić. Moją szansą na poznanie ich mogła być jedynie rozmowa z kimś, kto dokładnie potrafiłby określić sposób działania zegara. Zwróciłem się w stronę zakrystii. W moim kierunku szedł wikariusz.

– Przepraszam księdza – zagadnąłem go. – Szukam opiekuna tego zegara. – Wskazałem za siebie.

– Przykro mi, ale nie mam czasu – odburknął duchowny, próbując mnie wyminąć. Nie dałem za wygraną, chwytając go za sutannę.

– Naprawdę muszę porozmawiać z tą osobą – dokończyłem. Ksiądz spojrział na mnie, jak na bluźniercę, który zakłóca świętość tego miejsca swoim zachowaniem. Zorientował się jednak, że bardzo mi zależy na odszukaniu właściwej osoby, bo jego spojrzenie złagodniało i powiedział spokojnie:

– Jest jedna osoba w zgromadzeniu, która interesuje się tym zegarem – oświadczył. – Ale to bardzo stary człowiek, tak stary, że nie będzie w stanie przyjść tutaj. To kustosz zegara, brat Antoni.

– Gdzie mógłbym go spotkać? – zapytałem.

– Mieszka teraz w zakładzie opiekuńczym dla duchownych na peryferiach miasta. Mogę dać panu adres – zaproponował ksiądz.

– Byłbym wdzięczny – odparłem.

Szybko zanotowałem dane i jak najprędzej wybiegłem z katedry, aby zdążyć na autobus, który miał mnie zawieźć do tego ośrodka. Kiedy dobiegałem do przystanku, zaczęło mżyć. Wsiadłem do autobusu zanim ulewa rozpętała się na dobre. Nie miałem żadnej pewności, że brat Antoni będzie wiedział, co ile lat może powtórzyć się na zegarze dany układ gwiazd, ale to był mój jedyny trop. Kiedy niebo rozerwał pierwszy błysk piorunu, jakaś malutka dziewczynka zaczęła głośno płakać. Podałem jej moją chusteczkę i powiedziałem kilka ciepłych słów o burzach i grzmotach. Uśmiechnęła się i przestała łkać. Zaproponowałem jej, żeby zatrzymała sobie chustkę. Nie wydawało mi się, aby mogła być mi potrzebna w najbliższym czasie. Byłem zbyt podniecony tym, co mogłem usłyszeć od sędziwego zakonnika.

Dom spokojnej starości dla duchownych rzeczywiście znajdował się na peryferiach. Nie spotkałem go na żadnej mapie, ani w żadnym przewodniku, podobnie jak wcześniej sztandaru von Hogarów. Drzwi otworzyła mi młoda dziewczyna, na oko moja rówieśniczka, niska, ładna blondynka, o idealnej figurze i mocno opalonej cerze. Miała na sobie króciutką, lnianą sukieneczkę, więc mogłem dokładnie przyjrzeć się

jej nogom. Ich widok podzielał na mnie jak afrodyzjak. Musiałem mocno się starać, aby nie zdradzić przed nią, jak bardzo mnie podniecała.

– Dzień dobry – zacząłem, udając obojętność. – Czy mógłbym porozmawiać z bratem Antonim. W sprawie zegara – dodałem, widząc zdziwienie rysujące się na jej twarzy.

– Nie wiem, czy teraz może pana przyjąć – odparła. – Właśnie kładł się spać – dodała. – Czy nie mógłby pan przyjechać później?

– Niestety nie – powiedziałem, starając się, aby mój głos brzmiał stanowczo. – To jest sprawa niecierpiąca zwłoki.

Dziewczyna raz jeszcze otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia i pozwoliła mi wejść do środka. Było to dla mnie prawdziwe dobrodziejstwo, bo przemokłem już do suchej nitki i powoli zaczęło robić mi się chłodno. Poprosiła, abym zaczekał na dole, w małym, skromnym pokoiku, po czym poszła po schodach do góry. Wyraźnie słyszałem odgłos jej pantofli stukających o posadzkę. Minęło chyba pięć minut, zanim ponownie go usłyszałem, tym razem towarzyszyło mu stapanie o wiele cięższe, a przy tym niepewnie. Po chwili dziewczyna ukazała się w drzwiach. Za nią wszedł do pokoju siwiutki ksiądz. Usiadł naprzeciwko mnie i zaczął wpatrywać mi się w oczy. Dopiero po kilkunastu sekundach przemówił:

– Słucham pana. Podobno chciał się pan czegoś dowiedzieć o zegarze. Jeśli jest to sprawa niecierpiąca zwłoki, proszę nie tracić czasu: mojego i pańskiego – powiedział.

Zorientowałem się, że to ja powinienem rozpocząć rozmowę. Musiałem chyba wpadać w obłęd, skoro pomyślałem, że brat Antoni będzie w stanie odgadnąć, po co tu przyjechałem, w środku szalejącej burzy.

– Oczywiście, przepraszam – odparłem zmieszany. – W katedrze dowiedziałem się, że był pan kiedyś ekspertem w sprawie zegara astronomicznego. Czy mógłbym zadać panu jedno pytanie dotyczące jego funkcjonowania? – nieśmiało zapytałem.

Zakonnik zdziwił się.

– Po pierwsze, to użył pan niewłaściwego czasu – odpowiedział po dłuższej chwili. Wziął głęboki oddech, po czym ciągnął: – Ja wciąż jestem najlepszym ekspertem od tego zegara. – Spojrzał na mnie z wyrzutem. – I mogę panu odpowiedzieć na każde pytanie z nim związane, ale nie rozumiem, co może być aż tak pilnego. Ten zegar ma setki lat. Dla niego nie istnieje coś takiego jak pośpiech. Cóż więc sprowadza pana do mnie w taką pogodę? – spytał.

– Interesuje mnie dzisiejszy układ gwiazd na tym zegarze – zacząłem, od razu przechodząc do rzeczy. – Czy to możliwe, że ta konfiguracja miała już kiedyś miejsce? Kiedy spojrzałem na zegar, ogarnęło mnie dejavu, jakbym dokładnie ten układ kiedyś już widział – oznajmiłem. Starzec ponownie zamilkł na kilkanaście sekund, wyraźnie licząc coś w myślach. Dopiero kiedy się upewnił co do odpowiedzi, przemówił:

– Rzeczywiście, konfiguracja podobna do dzisiejszej miała już kiedyś miejsce, ale było to na pewno przed pańskimi narodzinami. Jeżeli poprawnie wykonałem obliczenia, to działo się to w roku 1960, a więc czterdzieści dwa lata temu – oznajmił. – Może się panu wydać dziwne, skąd to tak dokładnie pamiętam, ale miała wtedy miejsce pewna niezwykła historia, którą zapamiętałem na całe życie – tajemniczo rozpoczął ksiądz.

Pot zrosił mi czoło w oczekiwaniu na słowa mojego rozmówcy .

– W 1960 oprowadzałem grupkę turystów po katedrze i opowiadałem historie związane z interesującym pana zegarem. Jeden z nich, mający chyba koło dwudziestki, tak jak pan, świetnie mówił po niemiecku. Zapamiętałem go, bo tłumaczył moje opowiadania turystom znad Renu. Gawędziliśmy chwilę. Powiedział

wtedy, że układ gwiazd, który obserwowaliśmy, przypominał mu dwa krzyżujące się średniowieczne topory. Zwróciło to moją uwagę. Rzeczywiście można było odnieść takie wrażenie, o ile nie widziało się słabiej świecących gwiazd. Ten chłopak zginął kilka godzin później gdzieś na obrzeżach miasta. Pisali o tym w *Głosie Wybrzeża*. Nigdy nie zapomnę tego roku. Zapamiętałem tę datę dokładnie – zakończył opowieść stary ksiądz.

Poczułem nagły przyptyw adrenaliny. Puls delikatnie przyspieszył. Po raz pierwszy od czasu dziecięcych lęków pomyślałem o śmierci, dotykającej w namacalny sposób. Mój przyjazd do Gdańska nie był żadnym zbiegiem okoliczności. Ten sen śniłem na jawie z przerażającą dokładnością.

– W jaki sposób zginął ten chłopak? – zapytałem, udając obojętność. – Ja też w tej konfiguracji dostrzegłem krzyżujące się oręża.

– Niech pan nie wierzy w przesady – odparł ksiądz. – Nigdy nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Ta konfiguracja nie jest taka sama, tylko podobna do tej sprzed 42 lat. Ten chłopak zginął niedaleko Westerplatte, w wypadku samochodowym. W tym samym miejscu, w którym w trzydziestym dziewiątym walczyli Polacy z hitlerowskimi Niemcami.

– Czy to nie tam zginął wnuk starego von Horena? – zapytałem, nie kryjąc zdumienia.

– Dokładnie tam – potwierdził me przypuszczenia brat Antoni. – Sam go wtedy chowałem, podobnie jak później Johanna. Dobrze ich znałem, ale jeśli chciałby pan dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co się wydarzyło w trzydziestym dziewiątym, to mogę dać panu adres do mojego przyjaciela, Maćka Starzyckiego, który mieszka niedaleko Westerplatte. On wie wszystko o tamtych czasach. Chce pan ten adres?

– Oczywiście – odparłem, nie bacząc na konsekwencje tej decyzji. – Jak najbardziej. Przy okazji bardzo dziękuję za pomoc.

– Jeśli w czymś panu mogłem pomóc, to bardzo proszę. Nic więcej dziś nie mogę już robić, poza opowiadaniem – odpowiedział duchowny. W pobliżu zakładu uderzył potężny piorun. Brat Antoni poruszył się. – Wtedy też była taka burza. W sześćdziesiątym – powiedział nagle. – A później tak nagle się rozpogodziło – dodał.

Kolejna lodowata igła wbiła się w moje serce.

Na zewnątrz zakładu, w którym jesień życia spędzali duchowni, tacy jak brat Antoni, burza osiągała swoje apogeum. Chciałem zrozumieć, co mogłem mieć wspólnego z zawiłą przeszłością tego miasta. Po raz pierwszy w życiu ogarnęła mnie panika. Wiara w najbardziej szalone ze wszystkich możliwych przypuszczeń, wiara w to, że wszystko, co dzisiaj miało miejsce, zdarzyło się dlatego, że JA przyjechałem do Gdańska, pogłębiał bezmiar kłębiących się nad moją głową ciemnych chmur, rozrywanych co chwilę potężnym wyładowaniem energii.

Ona musiała to dostrzec. Nie rozumiałem wtedy jeszcze, dlaczego wybrała właśnie mnie, przez minione dwadzieścia lat życia nie robiłem oszalamiającego wrażenia na płci przeciwnej. A jednak podeszła do mnie, kiedy wybierałam numer radio taxi, odłożyła słuchawkę na widełki i zaprowadziła mnie do swojego pokoju. To była ta sama dziewczyna, która otworzyła mi drzwi i przyprowadziła brata Antoniego. W tej jednej chwili nie interesowało mnie, czy była wolontariuszką, zakonnicą, czy pielęgniarką. Nie chciałem o niej wiedzieć nic więcej. Po prostu moje przemoczone, lodowate ze strachu ciało domagało się odrobiny czułości. Bez chwili wahania przyjąłem milczącą propozycję w twarzy dziewczyny o fiołkowych oczach i zanurzyłem się w niej, licząc na to, że seks wypłoszy z mojego umysłu wszystkie demony przeszłości, a na zewnątrz przegoni burzę i pozwoli mi o wszystkim zapomnieć. Wmawiałem sobie, że znalazłem się w jej ramionach spontanicznie, bez żadnego powodu, ale było to tylko obłudne oszukiwanie samego siebie. Tuż przed galopującym orgazmem, który przyszedł o wiele za szybko, dopadła mnie myśl, że to też nie był przypadek. Przecież w ten sam sposób dwadzieścia jeden lat wcześniej zostałem poczęty ja. Koło historii

ponownie wykonało pełny obrót. Czy mogłem jeszcze odwrócić jego bieg? Musiałem porozmawiać z Maćkiem Starzyckim. Choć było to absolutnie niemożliwe, to byłem pewien, że go znam. Taksówka zatrzymała się przed wejściem do zakładu. Wiedziałem, że dziewczyna wpatrywała się z niepewnością w moją twarz, ale nie miałem siły wytrzymać jej spojrzenia. Wcisnęła mi do kieszeni swoje zdjęcie. Nawet nie rzuciłem na nie okiem. Pożegnałem się pospiesznie i wybiegłem z zakładu w stronę samochodu. Obiecowałem sobie i jej, że wrócę tu, jeśli dożyję wieczora. Szczerze mówiąc, nie bardzo w to wierzyłem.

Rzewna pieśń Roussosa wyrwała mnie z letargu. Już ją kiedyś słyszałem, dawno temu, jadąc tą drogą w kierunku Westerplatte. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Wszystko powtarzało się z kliniczną precyzją. I ten sam tekst wybrzmiewał z głośników: *From souvenirs to my souvenirs I live*. Kiedy taksówka podjechała pod adres wskazany przez brata Antoniego, deszcz powoli tracił impet. Burza milkła, kryjąc się wśród fioletowych ostępów nieba, przypominających tło malowideł Hieronymusa Boscha. Dom Starzyckiego stał na uboczu. Doskonale znałem te kontury. Kiedy byłem tu ostatnio, nie było co prawda anteny satelitarnej i angielskiego ogrodu, ale charakterystyczne dla surowego klimatu skandynawskiego domostwo nieraz śniło mi się, kiedy jako młodzian mieszkalem w Bydgoszczy. Ten sam kolor desek, ten sam charakterystyczny komin i zdobione okiennice. Drzewa rosnące obok były niewątpliwie większe i szerszym płaszczem otaczały dachówki, których zwieńczeniem były wykonane w drewnie średniowieczne, krzyżackie topory, te same topory. Za progiem tego domu leżało rozwiązanie całej zagadki. Kiedy chciałem otworzyć bramę, drzwi prowadzące do mieszkania uchyliły się i stanął w nich wysoki mężczyzna. Choć z daleka wydawał się krzepki i sprawny, wiedziałem, że musiał mieć blisko osiemdziesiąt lat. Rzeczywiście, kiedy podszedłem bliżej, głębokie bruzdy na jego twarzy zdradziły mi, że musiał być rówieśnikiem brata Antoniego

– Nareszcie – powiedział, ujrzawszy mnie. Przyłapałem się na myśli, że tembr jego głosu także się nie zmienił. – Czekałem na ciebie całe lato – dodał. Nie bardzo wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Miałem pewność, że go poznałem dawno, dawno temu, ale nie mogłem sobie przypomnieć w jakich okolicznościach.

– Witaj – niepewnie zacząłem. – Chyba się już kiedyś spotkaliśmy – rzekłem z wahaniem w głosie. Maciek spojrzał na mnie ze zdziwieniem

– Właściwie to nigdy – powiedział niespodziewanie. – Mógłbym przysiąc, że widziałem twojego ojca i dziadka, ale z tobą jeszcze nie miałem okazji się spotkać. Byłeś kiedyś w Gdańsku? – zapytał.

– Nie, to moja pierwsza wizyta, ale prześladuje mnie dziwne uczucie, jakbym już kiedyś widział wszystkie te miejsca, łącznie z twoim domostwem – odparłem. Maciek przyglądał mi się z uwagą. Po chwili zaproponował:

– Chodź, na pewno chcesz usłyszeć, co się stało z von Hogarem w trzydziestym dziewiątym

– Po to właściwie tu przyjechałem – odpowiedziałem, zastanawiając się, czy naprawdę chciałem poznać prawdę. W salonie, tuż nad kominkiem, urządzonym, podobnie jak całe mieszkanie, w stylu norweskim, wisiał obraz, przedstawiający słynną ucztę na dworze króla Baltazara, podczas której Daniel tłumaczył tajemnicze słowa, napisane na ścianie ręką samego Boga: *mane, tekel, fares*. Wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

– Zanim wybuchła wojna, w trzydziestym dziewiątym – zaczął opowieść Maciek Starzycki, wskazując mi fotel, w którym miałem usiąść – znałem Stefana von Hogara bardzo dobrze. Chodziliśmy razem do szkoły, wspólnie odwiedzaliśmy pobliskie kawiarnie, dzieliliśmy się wszystkimi przeżyciami. Można nawet powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi. Rok trzydziesty ósmy okazał się ostatnim dla naszej przyjaźni. Stefan wstąpił do Wehrmachtu, ja wybrałem Siły Zbrojne Rzeczypospolitej. Z dnia na dzień staliśmy się wrogami. Kiedy Szlezwik Holsztyn otworzył ogień do naszych na Westerplatte, był piękny poranek, ostatnie dni upalnego lata. Byłem wtedy na służbie. Walczyliśmy, ile tylko mieliśmy sił. Trzeciego dnia walk, kiedy wiedzieliśmy już, że nikt nam nie przyjdzie z pomocą, zaczął padać ulewny deszcz. To była nasza szansa. Kilku z nas postanowiło, pod osłoną burzy, przedrzeć się do obozu wroga i wysadzić w powietrze ich skład

amunicji. Było nas tylko dwunastu, ale Niemcy i tak nas wypatrzyli i zagnali do lasu. Każdy pobiegł w inną stronę, starając się uciec. Na mnie polował von Hogar. Był niewątpliwie lepszym żołnierzem ode mnie i nie byłem mu w stanie stawić czoła w równej walce. Lepiej też znał las. Dopadł mnie w tym miejscu, gdzie dzisiaj biegnie trakt, którym możesz dojechać pod pomnik. Było strasznie ślisko, błoto mazało się pod podeszwami wojskowych butów. Stefan chciał mnie zabić, wyczytałem to w jego wzroku. Rzucił się na mnie jak dziki zwierz. Nie miałem możliwości ucieczki. Kiedy już wydawało mi się, że ugodzi mnie bagnetem, poślizgnął się. Zdążyłem uchylić się od ciosu i przygnieść go do ziemi kawałkiem drewna, który znalazłem pod ręką. Stefan wypuścił bagnet i zacisnął ręce na mojej szyi. Walczył z pasją. Nie miał jednak szans. Leżałem na nim, a on był szczuplejszy ode mnie. Drąg wżynał mu się w ciało, twarz zaczęła mu puchnąć. Jego uścisk zelżał. Puściłem go. Nie chciałem zabijać niedawnego przyjaciela. Podniosłem z ziemi jego bagnet i wtedy zaatakował mnie od tyłu. Odwróciłem się błyskawicznie, ale od śmierci uratował mnie przypadek. Stefan nadział się bowiem na ostrze własnego bagnetu. Jego mundur w mgnieniu oka zaczerwienił się od krwi. Upadając, zdążył jeszcze wyszeptać, że nigdy mi nie da spokoju. Powiedział wtedy: "Zawsze cię dogonię, gdziekolwiek się ukryjesz". Strasznie się wściekłem, kiedy to usłyszałem. Liczyłem, że w obliczu śmierci znikną urazy, ale nic z tego. Stefan jeszcze próbował się odgrażać. W przypływie złości uniosłem w górę bagnet i uderzyłem jeszcze raz, w samo serce, wypowiadając jego ulubioną frazę biblijną...

– *Mane, tekel, fares* – dokończyłem za niego. Maciek spojrzał na mnie zaskoczony. – Widziałem ten napis na jego sztandarze rodowym – wyjaśniłem.

– Zgadłeś – odparł. – Ale to nie przypadek, że na to wpadłeś. W końcu to jest TWÓJ sztandar rodowy – powiedział.

– Czyżbym był częścią zemsty von Hogara? – zapytałem na poły samego siebie.

– Na to wygląda – odparł Starzycki. – Ale nie tylko ty jesteś jego ofiarą. Zanim Stefan zmarł, spotkał się z pewną Polką. Zaszła z nim w ciążę. Reszty się już pewnie domyślasz. Ja też zapłaciłem swoją cenę. Byłem pod Narwikiem, gdzie trafił mnie odłamek bomby i straciłem władzę w lewej dłoni. Wróciłem do kraju zafascynowany życiem Norwegów, chciałem wybudować dom w ich stylu, ale nie mogłem uwolnić się od klątwy Stefana. Drewno, jakiego użyłem, pochodziło z drzew rosnących w tamtym pamiętnym miejscu, kolekcjonowałem wszystkie możliwe reprodukcje obrazów, przedstawiających ucztę u Baltazara, wszelkie istniejące wyobrażenia dwóch krzyżujących się toporów. A na dodatek wy przyjeżdżacie z zadziwiającą regularnością, co dwadzieścia jeden lat. Zawsze macie tyle lat, co Stefan, kiedy umierał...

– I wszyscy ginie w tym samym miejscu, w którym go zabiłeś? – spytałem chrapliwie, gardło miałem zaschnięte. Domyślałem się prawdy.

– Nie uciekniesz od przeznaczenia. Zawsze ciebie dogoni, tak jak przepowiednia von Hogara. A ja zawsze czuję, że to przeze mnie. 1939. 1960. 1981. A teraz 2002. Czy to się nigdy nie skończy?

Taksówkarz czekał wciąż na ciebie, kiedy wyszedłeś z domu Maćka Starzyckiego. Znałeś swój los, ale nie chciało ci się wierzyć, by legenda dotyczyła ciebie osobiście. Co prawda wszystko się zgadzało. Miałeś dwadzieścia lat, zostałeś poczęty w Gdańsku, ale mieszkałeś w Bydgoszczy. Kilka godzin wcześniej uprawiałeś seks z przypadkowo spotkaną dziewczyną. Jednak deszcz powoli przestawał padać. W radio spiker mówił, że Jan Paweł II wracał do zdrowia po majowym zamachu. Potem w eter popłynęły dźwięki wielkiego przeboju Roussosa. Morski wiatr zaczął przeganiać ciemne chmury, potęgując odczucie dejavu. Dopadła cię nostalgia za czymś nieznanym, ale bardzo bliskim. Lepki pot zaperlił się na twojej twarzy. Zapragnąłeś wytrzeć mokre czoło chustką, ale przypomniałeś sobie, że oddałeś ją młodej dziewczynce, która bała się burzy. *From souvenirs to...* Leśny dukt był bardzo śliski. Koła podskoczyły na miękkim runie i skierowały samochód na pobliskie drzewo, przy którym zginął twój ojciec i dziadek. Taksówkarz wyszedł z wypadku bez szwanku. Po tobie została tylko mosiężna figurka, breloczek dany ci przez Maćka, na którym krzyżowały się dwa ociekające krwią topory, mała reprodukcję *Sądu Ostatecznego* Memlinga

i zdjęcie, które tuż po wyjściu z pensjonatu wręczyła ci moja matka. Milicję zaintrygowała jedynie rejestracja samochodu. MTF. Była chyba warszawska, ale pierwsza litera w wyniku wypadku karykaturalnie odwróciła się o 180 stopni. Ja też jechałem teraz taksówką o numerze rejestracyjnym WTF 1939. Zbliżałem się. Albo rację miał brat Antoni, albo Maciek Starzycki. Czy policzono, zważono i rozdzielono już królestwo moje???

Bydgoszcz, październik 2002